

E. AMICIS

Z. H. P.
Oddział Lwowski
Chorągiew Męska
2. DRUŻ. HARCERSKA im. H. TRAUGU
we Lwowie

OD APENINÓW DO ANDÓW

PRZEKŁAD

M. KONOPNICKIEJ



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1908

3

Przed wielu laty trzynastoletni chłopiec, Genuńczyk, udał się z rodzinnego miasta do Ameryki sam, aby tam odszukać matkę, od której już od roku rodzina nie miała wieści.

Przed dwoma laty wywędrowała ona do Buenos Aires, stołecznego miasta Republiki Argentynskiej, aby tam przyjąć służbę w jakim bogatym domu i zarobić w krótkim czasie dość pieniędzy na poratowanie rodziny, przywiedzionej do ostatniego ubóstwa i zadłużonej nawet skutkiem różnych nieszczęść.

Nie mało we Włoszech jest odważnych kobiet, które się puszczają w tak daleką drogę z tym samym zamiarem, i dzięki wysokiej zapłacie, jaką tam otrzymuje uzdolniona służba, po niewielu latach wracają do domu z kilku tysiącami lirów.

Kiedy biednej matce przyszło się rozstać z synami, z których jeden miał lat osiemnaście, a drugi jedenasty kończył, zapłakała krwawemi łzami z serdecznego żalu, wszakże wiedząc, że to dla ich dobra, szła w drogę mężnie i pełna nadziei. Podróż pomyślna. Za ledwie stanęła w Buenos Aires, żeżna kobieta, za pośrednictwem mężowskiego

krewniaka, który od dawna był tam osiedlony, znalazła dobrą służbę, gdzie płacono jej hojnie i obchodzono się z nią życzliwie. Rada więc była i przez czas dłuższy pisywała do rodziny regularnie, donosząc o swem powodzeniu. Umówili się przed wyjazdem, że mąż będzie posyłał listy do niej na ręce owego krewniaka, żona zaś tą samą drogą będzie dawała odpowiedź.

Dzięki korzystnej służbie, zarabiając osiemdziesiąt lirów¹⁾ miesięcznie, a nie wydając na siebie nic prawie, dzielna kobieta posyłała co kwartał do domu wcale ładną sumkę, z której mąż, człowiek uczciwy, spłacał co pilniejsze długi, odzyskując dobrą opinię i niecierpliwie wyglądając chwili, w której żona powróci, gdyż dom bez niej dla wszystkich był pusty i smutny, a młodszy z synów, ogromnie przywiązany do matki, tęsknił za nią bardzo i nie mógł nawyknąć do tego rozłączenia.

Ale po upływie roku, po krótkim liście, w którym zawiadamiała swoich, że niezupełnie jest zdrowa, wiadomości od niej przestały nadchodzić.

Pisali dwa razy do owego krewniaka, ale nic nie odpowiedział.

Pisali do rodziny argentyńskiej, u której owa kobieta służyła, ale niewiadomo było, czy list doszedł, nazwiska bowiem dobrze nie pamiętali, a odpowiedzi i stamtąd nie mieli.

Wtedy w obawie nieszczęścia napisał ojciec do konsulatu włoskiego w Buenos Aires, prosząc o zarządzenie poszukiwań. Po trzech miesiącach

¹⁾ Włoska moneta, wartości około 1 franka, czyli paru złotych.

wszakże tyle się tylko dowiedział, że na ogłoszenie, dane przez konsulát do tamtejszych gazet, nikt się nie zgłosił, i że nie znaleziono żadnego śladu zaginionej.

I nie mogło też być inaczej! Dobra kobieta bowiem wyobraziła sobie, że powinna zataić swe nazwisko, aby w rodzinnem mieście nikt nie dowiedział się nigdy, że przyjęła miejsce służącej i spełniała tak niską pracę, aby wydzwignąć z nędzy ukochanych. Dlatego w Buenos Aires znana była pod innym zupełnie nazwiskiem.

Przeszło kilka miesięcy bez najmniejszej wieści. Ojciec i synowie coraz bardziej byli zmartwieni, młodszy zaś z niepokoju i tęsknoty zaczął zapadać na zdrowiu. Co czynić? Do kogo się udać? Pierwszą myślą ojca było jechać samemu i szukać żony w Ameryce. Ale robota? I kto przez ten czas utrzymywałby dom i dzieci? Nie mógł też jechać syn starszy, który właśnie dostał oczekiwane od dawna zajęcie i nie mógł go porzucić.

Żyli więc w ciężkiej trosce, powtarzając codzień to bolesne pytanie: co czynić? — i patrząc na siebie w milczeniu. Aż raz mały Marek odezwał się rezolutnie:

— Ja pojedę do Ameryki i wyszukam mamę!

Ojciec pokiwał głową, nie odpowiadając. Tak! To był pomysł serdeczny, ale — nie do wykonania. W trzynastu latach, sam do Ameryki, do której podróż trwała miesiąc blisko!

Ale chłopiec nie ustępował. Nalegał tego dnia, nalegał drugiego, trzeciego i codzień, rozumując trafnie, jak dorosły człowiek.

— Pojechało już tam wielu i młodszych ode mnie! — mówił. — Skoro wsiądę na okręt, to przecie dopłynę, czy jestem mały, czy duży. Nie bójcie się, już mnie dowiozą, gdzie trzeba!

A gdy będę na miejscu — cóż to? Nie potrafię to odszukać sklepu naszego krewniaka? Przecie tam jest tylu Włochów, to mi pierwszy lepszy pokaże ulicę! A gdy do niego trafię, to jakbym trafił do mamy!

Gdybym zaś nie znalazł sklepu, to pójde prosto do konsula i dopytam się o tych państwa, gdzie mama służyła. Więc cóż mi się stać może? Jeszcze robotę tam znajdę i zapracuję tyle, żeby wrócić do domu! Powtarzając to codzień, przekonywał ojca i brata.

Ojciec mu ufał. Wiedział, że chłopiec jest roztropny i odważny, wiedział też, że do niedostatku nawykł od dzieciństwa, a do spełnienia zamiaru znajdzie dość siły w sercu, dla którego odnalezienie ukochanej matki było drogim i świętym celem. Zdarzyło się przytem, że kapitan parostatku, udającego się na morze, posłyszawszy coś o tej sprawie, zobowiązał się dać chłopcu darmo bilet trzeciej klasy aż do Argentyny. Wtedy ojciec przystał po krótkim wahaniu, i podróż została zdecydowana. Naładowali Markowi pełną torbę żywności, dali mu do kieszeni kilka skudów¹⁾, zaopatrzyli go w adres krewniaka i pewnego pięknego dnia w kwietniu odprowadzili na pokład okrętu.

— Synu mój, Marku drogi! — mówił ojciec, ściskając go raz jeszcze z pełnemi łez oczyma. —

¹⁾ Skudy — moneta włoska złota lub srebrna.

Sprawże się dobrze! Jedź z Bogiem! Syna, co matki szuka, Pan Bóg nie opuści!

* * *

Biedny Marek! Serce miał mężne i przygotowane na najcięższe próby w tej podróży, ale kiedy piękna Genua zniknęła mu z oczu, kiedy znalazł się na pełnem morzu, wśród tłumu emigrantów¹⁾, wypełniających cały parostatek, sam, nieznanym nikomu, z tą małą torbą, która zamykała całe jego mienie, ogarnęła go wielka żalność i zwątpienie. Przez dwa dni leżał na przodzie pokładu, nie mogąc nic przełknąć, a tylko chciało mu się płakać, płakać! Różne myśli chodziły mu po głowie, jedna smutniejsza od drugiej; a najcięższa i najsmutniejsza wracała uporczywie, myśl, że matka jego, kto wie — nie żyje już może...

W niespokojnych, przerywanych snach widział ciągle twarz jakąś, która pochylała się nad nim i patrząc ze współczuciem, szeptała mu do ucha: Twoja matka umarła! — Wtedy się budził, tłumiąc krzyk rozpaczny.

Dopiero kiedy okręt przebył cieśninę Gibraltarską i wypłynął na ocean Atlantycki, nieco nadziei i otuchy wstąpiło w duszę Marka. Na krótko wszakże. To niezmierzone, ciągle jednostajne morze, ten wzrastający upał, ten ścisk tłumu biedaków, który go otaczał, a nadewszystko poczucie samotności i oderwania od swoich, pograżyły go prędko w stan blizki rozpaczny. Dnie jednostajne, wlokące się po sobie bez żadnej odmiany, mąciły

¹⁾ Emigranci — wychodźcy z kraju.

mu się w pamięci, jak się to chorym przytrafia. Zdawało mu się, że już rok przynajmniej płynie po tem morzu, i każdego ranka budząc się, zdumiony był na nowo, że jest sam, wpośród tych wód niezmiernych, i płynie do Ameryki!

Te śliczne, latające ryby, które czasem spadały na pokład, te nadzwyczajne wschody i zachody słońca w pobliżu równika¹⁾, srebrzyste mgły wieczorów, fosforescencja²⁾ morza pośród ciemnej nocy, wszystko to zdawało mu się być dziwem przyśnionym. A potem było gorzej jeszcze. Potem przyszły dni dżdżyste, podczas których ciągle przebywał w zamknięciu między pokładami, gdzie wszystko trzęsło się i przewracało, gdzie nic nie słyszał, oprócz wyrzekania i straszliwych kłótni. Wtedy to myślał biedak, że chyba ostatnia godzina jego już nadeszła.

A potem znowu zmiana. Powietrze ciężkie, duszne, skwar nieznośny, morze gładkie, żółtawe, bez ruchu, milczące, w martwym powietrzu brak tchu, nuda nieskończona; dnie posępne, śmiertelne, ciężkie nie do udźwignienia, w ciągu których pasażerowie, rozciągnięci nieruchomo na podłodze, na ławkach, zdawali się trupami. A drogi jakby nie ubywało wcale. Niebo i morze, morze i niebo, dziś jak wczoraj, jutro jak dziś, i jeszcze, i ciągle, i wiecznie.

I stał tak chłopczyna, oparty o poręcz pokładu, wlepiwszy wzrok w ten ocean bez początku i końca, ogłuszony, oszołomiony, niejasno a uparcie myślący

¹⁾ Równik — linja, łącząca najgorętsze miejsca na kuli ziemskiej. ²⁾ Fosforescencja — błyszczczenie.

o matce, póki mu nie zaciążyły powieki, a głowa nie spadła na ręce. A wtedy — spostrzegął znowu tę twarz nieznaną, która patrzyła na niego litośnie, i słyszał jej szept cichy: Matka twoja umarła. I budził się i zrywał nagle, aby znów śnić na jawie, zapatrzony w horyzont cichy, nieruchomy.

* * *

Dwadzieścia siedem dni trwała ta podróż! Ostatnie przecież były trochę lepsze. Powietrze się odświeżyło, pogoda była piękna. Marek poznał się z jednym starym Lombardczykiem, który jechał do Ameryki, aby odwiedzić syna, mającego kawałek ziemi niedaleko miasta Rosario. Opowiedział mu wszystko o swojej rodzinie, a stary, słuchając, klepał go po ramieniu i raz wraz powtarzał: Odwagi, chłopcze! Odnajdziesz matkę zdrową i szczęśliwą!...

Te rozmowy, ten spokojny i starszy towarzysz, wzmocniły trochę Marka, — smutne przeczucia zmieniły się w radosne oczekiwanie.

Siedząc na tylnym pokładzie obok starego wieśniaka, palącego fajkę, pod pięknym, gwiazdzistym niebem, wpośród gromadek emigrantów, którzy śpiewali, po sto razy przedstawiał sobie w myśli, jak to on przyjedzie do Buenos Aires; widział się już na wskazanej sobie ulicy, odnajdywał sklepik krewniaka i biegł do niego z okrzykiem: Mama czy zdrowa?... Gdzie mama?... Idźmy prędko! Idźmy prędko do niej! Więc wybiegali razem, wstępowali na wschody, drzwi się otwierały — i... I tu

urywała się gra jego wyobraźni, głosy, którymi sam przemawiał, milkły, a całe serce jego zalewało uczucie niewypowiedzianej tkliwości. Wyjmował wtedy z zanadru mały medalik, całował go i z cicha odmawiał modlitwy.

*

*

Dwudziestego siódmego dnia od wyruszenia z Genui przybyli nareszcie. Majowa różana zorza stała na niebie, kiedy okręt zarzucił kotwicę w zatoce olbrzymiej rzeki La Plata, na brzegu której wznosi się obszerne miasto Buenos Aires, stolica Republiki Argentyńskiej.

Ta zorza wydała się naszemu chłopcu dobrą wróżbą. Radość i niecierpliwość odbierały mu niemal zmysły. Jego droga, ukochana matka była już tak blisko, tak blisko! Za parę godzin zobaczy ją, uściska! Oto był w Ameryce, w tym Nowym Świecie, odważył się na tę drogę sam, i dobił do celu!

Wszystko co przeszedł, przecierpiał w podróży, wydało mu się teraz niczem. Leciał, płynął jak w śnie, a teraz się obudził. A tak był szczęśliwy, że nawet się nie zasmucił, kiedy sięgnąwszy do kieszeni, nie znalazł w niej jednego z dwóch węzełków, w których związał swój mały skarb, rozdzieliwszy go na dwie połowy dla większej pewności, że nie zgubi wszystkiego. Jeden z tych węzełków wyciągnął mu widać jakiś zły człowiek, tak że mu pozostało tylko kilka lirów. Ale cóż go to mogło dziś obchodzić, kiedy był tak blisko matki?

Wziąwszy torbę w rękę, zszedł razem z wielu innymi Włochami do małego parostatku, który ich dostawił nieopodal portu; tam przesiadł się na łódź, noszącą imię »Andrzej Doria«, ta go doniosła do portu, skąd pożegnawszy starego Lombardczyka, ruszył wielkimi krokami ku miastu.

* * *

Na zakręcie pierwszej ulicy zatrzymał przechodnia i grzecznie prosił o wskazanie, w jakim kierunku ma się udać, aby dojść do ulicy »Los Artes«. Wypadek zdarzył, że ów przechodzień był robotnikiem Włochem. Spojrzał ciekawie na chłopca i zapytał go, czy umie czytać. Chłopiec potwierdził, że umie.

— A więc — rzekł ów robotnik, wskazując mu ulicę, z której wyszedł, — idź ciągle prosto, prosto, i czytaj nazwy ulic na wszystkich rogach, to znajdziesz i swoją.

Chłopiec podziękował i puścił się przed siebie.

Ulica była prosta i niezmiernie długa, lecz wązka, zabudowana po obu stronach białymi, niskimi domkami, które wyglądały jakby dworki wiejskie, pełna ruchu ludzi, pojazdów i ciężkich wozów, toczących się z ogłuszającym hałasem; tu i owdzie zaś powiewały olbrzymie chorągwie, na których wypisano wielkimi, różnokolorowemi literami, dokąd i kiedy jaki okręt odplywa.

Idąc wciąż przed siebie, Marek widział na prawo i na lewo poprzeczne ulice, tak samo proste i długie, i tak samo zabudowane małymi, niskimi

domami, i tak samo pełne ludzi i powozów, przecięte w głębi prostą linią nieskończonej płaszczyzny amerykańskiej, podobnej do widnokregu morza.

Miasta niepodobna było objąć wzrokiem. Zdało mu się, że mógłby tak całymi dniami, całymi tygodniami iść a iść, nie widząc nic innego, tylko takie prosto przecinające się ulice, i że cała Ameryka musi być niemi pokryta.

Uważnieprzecieżbardzo czytałnazwyna wszystkich rogach, nazwy obce, niezrozumiałe. Przy każdym rogu serce zaczynało mu bić silniej na myśl, że może wreszcie dostrzeże wyraz pożądany.

Baczenie też patrzył na przechodzące kobiety, bo myślał sobie, że mógłby matkę poprostu spotkać. Raz zobaczył dość daleko idącą kobietę, która wydała mu się wzrostem dość podobna do najdroższej postaci. Krew uderzyła mu do głowy. Pobiegł za nią i ujrzał, że była to Murzynka. Szedł więc znowu, coraz przyspieszając kroku. Nareszcie na którymś rogu stanął, jak gdyby wrósł w ziemię. Była to jego ulica, ulica »Los Artes«.

Odwrócił się, i zobaczył nr. 117! Sklep krewniaka zaś miał się znajdować pod nr. 175. Zaczął iść teraz tak śpiesznie, że prawie biegł. Przed nr. 171 musiał stanąć, żeby tchu nabrać. I mówił sobie: O matko moja! Matko moja! Czyż to prawda, że ja cię zaraz zobaczę?...

Pobiegł dalej, spostrzegł mały sklepik z wiktuałami. Ten sam. Wszedł. W sklepiku siedziała siwa kobieta w okularach.

— A czego to, chłopcze? — spytała po hiszpańsku.

— Czy to nie tu, — rzekł Marek, usiłując wydobyć głos ze ściśnionego gardła — czy to nie jest sklep Franciszka Merelli?

— Franciszek Merelli umarł! — odrzekła kobieta po włosku.

Chłopiec zachwiał się, jakby uderzony w piersi.

— Kiedy umarł?

— Eh, kawałek już czasu, moje dziecko! — odpowiedziała kobieta. — Kilka miesięcy temu. Nie wiodło mu się. Sprzedał. Wyprowadził się. Słyszałam, że daleko stąd, aż do Bahji, gdzie zaraz też podobno miał umrzeć. Skleplik teraz mój.

Chłopiec zbladł.

Przewycięzył się jednak i rzekł szybko:

— Merelli znał moją matkę, która służyła tutaj u państwa Mequinez. Przyszedłem, żeby go o nią zapytać. Przyjechałem do Ameryki, aby odszukać matkę, Merelli posyłał jej nasze listy. Przecież muszę ją znaleźć? moją matkę!

— Biedny chłopiec! — westchnęła kobieta. — Ja nic nie wiem. Mogę zapytać stróża. On znał chłopaka, który Merellemu załatwiał posyłki. Może być, że wie cokolwiek.

I zaraz poszła w głąb sklepu, wołając przeze drzwi stróża.

Przybiegł natychmiast.

— Powiedz mi — rzekła sklepikarka, — czy pamiętasz, żeby ten chłopak od Merellego nosił listy do kobiety, służącej tu u państwa..

— U państwa Mequinez! — odpowiedział stróż. — Tak, proszę pani, nosił czasem. Tam dalej, w tej samej ulicy.

— Ach, dziękuję pani! — zawołał Marek. — Proszę mi tylko powiedzieć numer... Nie wiecie? Niech pani każe mnie zaprowadzić! Zaprowadźcie mnie, stróżu! Mam jeszcze pieniądze...

Mówił tak żarliwie, że stróż, nie czekając na to, co powie sklepikarka, rzekł:

— To idźmy! — I wyszedł pierwszy prędkim krokiem.

Biegając niemal i bez słowa, poszli w głąb tej nadzwyczaj długiej ulicy, przeszli korytarz, wiodący wskrós małego, białego domku, i zatrzymali się przed piękną kratą, przez którą widać było dziedzińczyk, pełen gazonów z kwiatów. Marek pociągnął za dzwonek. Ukazała się młoda panna.

— Czy tu mieszkają państwo Mequinez? — zapytał chłopiec trwożliwie.

— Mieszkali — odpowiedziała panna po włosku, choć akcentem hiszpańskim. — Teraz my tu mieszkamy, Zeballoz.

— A gdzie się wyprowadzili państwo Mequinez? — zapytał Marek z bijącym sercem.

— Wyjechali do Kordowy.

— Kordowa? — wykrzyknął Marek. — Gdzież to Kordowa?... A ta służąca, która u nich była? Ta kobieta? Moja matka? Ich służąca była moją matką... Czy zabrali moją matkę z sobą?

Panna spojrzała na niego i rzekła:

— Nie wiem. Może mój ojciec będzie wiedział. Proszę poczekać chwilę.

Odeszła, a za chwilę powróciła z ojcem, wysokim panem z siwą brodą. Pan popatrzał na sympatyczną postać genueńskiego marynarczyka z orlim

noskiem i jasnymi włosami, poczem zapytał nie-
tęą włoszczyzną:

— Twoja matka była z Genui?

— Z Genui, panie!

— To ta służąca z Genui wyjechała razem
z państwem. Wiem o tem napewno.

— A gdzie wyjechali?

— Do Kordowy... Do takiego miasta.

Chłopczyna westchnął ciężko, a potem odrzekł
z rezygnacją:

— Kiedy tak, to muszę także udać się do
Kordowy.

— Biedny malcze! — zawołał pan, patrząc na
niego litośnie. — To daleko! — ze sto mil!

Marek zbladł jak trup i oparł się ręką o kratę.

— Zobaczymy, zobaczymy — mówił pan,
tknięty współczuciem, i otwierając drzwi, dodał:

— Wejdz na chwilę, zobaczymy, czy ci w czem
pomódz można.

Kazał mu usiąść i opowiedzieć rzecz całą,
a wysłuchawszy z wielką uwagą, namyślał się czas
jakiś, poczem rzekł szybko.

— Nie masz pieniędzy, prawda?

— Mam jeszcze... trochę — odpowiedział Marek.

Pan znów myślał przez parę minut, potem
siadł do stolika, napisał list, i podając go chłopcu,
rzekł:

— Słuchaj, mały Włoszku! Idź z tym listem
do Boca. Jest to miasteczko przez pół genueńskie,
stąd o dwie godziny drogi. Każdy ci pokaże drogę.
Idź tam i wyszukaj tego pana, którego nazwisko
masz tu na adresie. Znają go wszyscy. Zanieś mu

ten list. Ten pan wyprawi cię jutro do Rosario i poleci komuś, kto się postara ułatwić ci dalszą drogę, aż do Kordowy, gdzie znajdziesz państwa Mequinez i matkę. Tymczasem masz tu oto — włożył mu kilka lirów do ręki — idź śmiało, nie bój się! Wszędzie tu znajdziesz Włochów, wszędzie się rozmówisz i nie będziesz opuszczony! Adios!

Chłopiec rzekł tylko: Dziękuję!... — Nie mógł znaleźć słów innych, wyszedł ze swoją torbą i pożegnawszy przewodnika, zaczął iść zwolna ku onemu »Boca«, pełen smutku i zdumienia, przez to duże, hałaśliwe, tętniące przyspieszonym ruchem miasto.

Wszystko, co mu się od chwili tej, aż do wieczora następnego dnia zdarzyło, zostało mu w pamięci zmaćcone, niejasne, podobne do gorączkowych majaczeń w chorobie, tak był znużony, stroskany, upadły na duchu.

Dopiero kiedy drugiego dnia wieczorem, przepawszy noc w jakiejś komórce obok tragarza portowego w Boca i przesiedziawszy dzień prawie cały na stosie belek, wpółsensnym wzrokiem wpatrzony w tysiące łodzi, statków parowych i okrętów, znalazł się wreszcie na dużej, żaglowej, naładowanej owocami barce, zrobiło mu się jakoś rzeźwiej w duszy.

Barkę prowadziło trzech silnych, na bronz spalonych słońcem genueńskich żeglarzy, których

głos i ten miły mu, znajomy od dzieciństwa, akcent dodawały biedakowi otuchy, odwagi.

Ruszyli.

Podróż trwała trzy dni i cztery noce, a była jednym wielkiem zdumieniem dla małego wędrowca. Trzy dni i cztery noce spędził na olbrzymiej, pełnej zadziwiających widoków rzece Paranie, wobec której Po¹⁾ drobnym zaledwie jest strumyczkiem, a której długość przewyższa długość Włoch cztery razy...

Barka posuwała się zwolna, płynąc mozolnie pod falę tych wód niezmiernych. To mijała podłużne wyspy, niegdyś tygrysów i węzów siedliska, teraz uprawne gaje, pokryte plantacjami pomarańcz; to przesuwała się przez kanały tak wąskie, iż zdawało się niepodobieństwem, aby z nich wyjść mogła; to wypływała na szerokie wodne roztocze, mające pozór wielkich, cichych jezior. A potem znów inne wyspy, i znowu kręte kanały skroś archipelagu, wpośród ogromnych gąszczów dzikiej roślinności. Te brzegi, te wody samotne, szeroko rozlane, czyniły niekiedy wrażenie, jakichś nowych światów, na które ta uboga barka przedzierała się pierwsza od stworzenia ziemi. A im dalej się posuwali, tem potworna rzeka straszniejszą się zdawała biednemu Markowi.

Wyobraził sobie, że matka jego jest gdzieś u jej źródła, i że będzie tak płynął do niej lata, lata.

Dwa razy dziennie spożywał nieco chleba i solonego mięsa, razem z wioślarzami, którzy widząc

¹⁾ Po — największa rzeka włoska.

go smutnym, przestali się do niego odzywać. Nocą sypiał na pokładzie, budząc się wszakże co chwila, zdumiony nadzwyczajnym blaskiem księżyca, który wysrebrzał niezmierne wody i dalekie brzegi, a wtedy ścisnęło mu się serce.

Kordowa! — Powtarzał to słowo »Kordowa«, jakby to była nazwa tajemniczego miasta, o którym niegdyś w bajce jakiejś słyszał.

I zaraz poddawał się myślom słodkim i cieszącym.

— Mama tędy płynęła... Mama także patrzyła na te wyspy, na te brzegi.

A wtedy miejsca i widoki utracaly dla niego coś z obcości swojej i nie zdawały mu się tak samotne, bo przecież zostało na nich coś ze spojrzenia matki.

Nocą, żeby nie usnąć, jeden z wioślarzy śpiewał. Jakże mu śpiew ten przypominał słodkie pieśni, którei usypiała go matka.

Ostatniej nocy, słuchając owego śpiewania, zapłakał głośno. Wioślarz przerwał piosenkę, chwilę milczał, a potem zawołał:

— A nie bądźże babą, chłopcze! Cóż u licha! Genueńczyk — i beczy, że dom daleko... A nie wiesz, że Genueńczycy świat opłynęli dokoła w sławie i w tryumfie?

Więc biedak zwyciężył się jakoś, poczuł genueńską krew w żyłach i podniósł mężnie czoło, uderzając pięścią w rudel, dla nadania sobie bardziej męskiej miny.

— Dobrze! — myślał. — I ja taki będę! I ja muszę opłynąć cały świat dokoła, i będę płynął

lata, lata całe, a potem będę szedł pieszo setki, setki mil, będę szedł ciągle, póki nie odnajdę mamy! Choćbym miał dojść umierający i paść u nóg jej nieżywy! Niech tam, bylem ją zobaczył! Będę odważny! Będę odważny! Będę mężny! Będę!...

Tak z umocnioną duszą przybył o chłodnym, wczesnym brzasku dnia czwartego do Rosario, które leżało na wysokim brzegu Parany, tam, gdzie tysiące powiewających chorągwiami masztów przeglądało się w uciszonych jej wodach.

Zaraz po wylądowaniu udał się Marek do miasta, aby odszukać Argentyńczyka, do którego protektor z Boca dał mu na wizytowym bilecie kilka słów polecających.

Kiedy wszedł do Rosario, zdawało mu się, że wchodzi do miasta już znanego. Były to te same nieskończenie długie i proste ulice, zabudowane niskimi, białymi domami, zasnutę ponad dachami niezmierną siecią telefonicznych i telegraficznych drutów, które wisiały niby olbrzymia pajęczyna; a na brukach tętent koni, huk wozów, wrzawa ludzi. W głowie mu się mieszało. Chwilami miał takie wrażenie, że tylko co przybył do Buenos Aires i ma szukać swego krewniaka.

Chodził z godzinę może, zawracając to tu, to tam, wśród ogłuszającej jednostajności widoków, zupełnie, jakby ciągle się kręcił w tej samej ulicy, aż dopytując się usilnie, znalazł nakoniec dom nowego protektora. Zadzwoił. We drzwiach ukazał

się jakiś grubas z jasnymi włosami, z twarzą nie-miłą, wyglądający na rządcę domu, który zapytał go opryskliwie cudzoziemską wymową:

— Czego chcesz?

Chłopiec wymienił nazwisko pana domu.

— Pan — odpowiedział rządcą — wyjechał wczoraj wieczór do Buenos Aires z całą rodziną.

Chłopiec oniemiał. Potem rzekł zmieszany:

— Ale ja... Ja nie znam tu nikogo... Jestem sam. — I podał ów polecający bilet.

Rządcą go wziął, odczytał i rzekł niechętnym głosem.

— Ja tam nic nie wiem. Dam panu za miesiąc, jak wróci.

— Ale ja, ja tu sam... Ja muszę!... — zawołał błagalnie chłopczyzna.

— Eh, ruszaj sobie! — odpowiedział grubas. — Mało to obieżyświatów z tego kraju! Idź do Włoch zebrać, do Włoch!

I zamknął mu drzwi przed nosem. Chłopiec stał jak skamieniały.

Wziął wreszcie swoją torbę i odszedł zwolna, z sercem jakby przebitym i zamętym w głowie.

Co czynić? Gdzie iść?

Z Rosario do Kordowy był jeszcze dzień jazdy koleją. Ale Marek miał już tylko parę lirów. Odjąwszy to, co musi dziś jeszcze wydać — cóż mu zostanie? Skąd wziąć pieniędzy, żeby kupić bilet do Kordowy? Mógłby zarobić... Ale gdzie, kogo prosić o zajęcie? Zebrać? Ach, nie! Te odmowy, obelgi, upokorzenia, jak tego świeżo doznał... Nigdy, nigdy! Sto razy lepiej umrzeć...

Kiedy tak rozmyślając, spojrział w nieskończenie długą ulicę, która ginęła gdzieś daleko, na niezmiernej, nieobjętej okiem płaszczyźnie, poczuł, że cała odwaga uchodzi mu z serca... Rzucił torbę na chodnik, siadł na niej, oparł się o mur plecami, i ukrywszy twarz w dłoniach, bez jednej łzy nawet, pozostał tak nieruchomy, jak obraz rozpaczy.

Przechodnie potrącali go nogami; ulica drżała od turkotu ładownych wozów; kilku chłopców zatrzymało się i patrzyło na niego.

Jak długo to trwało, nie czuł. Nagle zbudził go jakiś głos, mówiący w pół po włosku, a w pół po lombardzku:

— A co ci to, dziecko?

Podniósł twarz na te słowa, i spojrzawszy, skoczył z okrzykiem zdziwienia:

— Wy tutaj?...

Przed nim stał wieśniak, Lombardczyk, z którym się zaprzyjaźnił, przepływając morze.

Ale i stary wieśniak niemniej był od niego zdziwiony. Marek wszakże w nagłym podnieceniu nie dał mu czasu na pytania, sam zaczął opowiadać śpiesznie wszystko, co go od owego czasu spotkało.

— A teraz — kończył — nie mam już pieniędzy, a muszę koniecznie zarobić na drogę. Zmiłujcie się, znajdźcie mi jaką robotę, żebym mógł zebrać kilka lirów! Wszystkiego się podejmę... Mogę nosić pakunki, zamiatać ulice, biegać po posyłki, mogę także pracować na wsi. Żyłbym czarnym, suchym chlebem, byłbym jak najprędzej mógł jechać i raz już odnaleźć matkę!

— Ulitujcie się nade mną, znajdźcie mi jaką robotę! Na miłość Boską, znajdźcie, bo nie wytrzymam dłużej!...

— Tak! Tak! — powtarzał wieśniak, patrząc dookoła i drapiąc się w brodę! Co za awantura!... Robota!... Łatwo powiedzieć: robota! Ale skąd jej wziąć? Posłuchajno... A nie dałoby się zebrać jakich trzydziestu lirów tak pomiędzy naszymi?... Przecie tu tylu jest naszych!

Chłopiec spojrział na niego z odbłyskiem nadziei.

— Pójdźno ze mną! — rzekł wieśniak po nowym namyśle.

— Gdzie? — zapytał chłopczyna, schylając się po torbę.

— Jak mówię: pójdź, to pójdź!

I zaraz ruszył z miejsca.

Marek szedł za nim. Duży kawał ulicy przeszli w zupełnem milczeniu, nareszcie wieśniak zatrzymał się przed oberżą, na szyldzie której była gwiazda, a pod nią napis: »Jutrzenka Włoch«. Wsadził głowę przeze drzwi, i cofnąwszy ją zaraz, obrócił się do chłopca i rzekł wesoło:

— W dobrą chwilę przyszliśmy! Chodź!

I weszli do izby. W izbie było kilka stołów, a przy stołach siedziało dużo ludzi, pijąc i rozprawiając głośno. Stary Lombardczyk zbliżył się do pierwszego stołu, a po sposobie, w jaki powitał sześciu siedzących przy nim gości, można było poznać, że tylko co należał do ich towarzystwa. Goście mieli twarze czerwone i brząkali szklankami, śmiejąc się i krzycząc razem.

— Towarzysze! — rzekł wieśniak bez żadnego

wstępu, stojąc i trzymając Marka za rękę. — Oto jest biedny chłopak, nasz rodak, który przybył z Genui do Buenos Aires, szukając matki. Tam jej nie znalazł, bo jest aż w Kordowie. Zabrali go na barkę do Rosario. Płynął trzy dni i cztery noce z paru słowami polecającemi. Przedstawił kartkę, wykrzywili na niego gębę. Nie ma ani grosza. Jest sam i nikogo nie zna. Chłopak pełen serca. Pomysleć tylko: z Genui do Rosario!... Dalej, towarzysze! Nie trząsnęlibyście też kieszenia, żeby miał za co kupić bilet do Kordowy? Bo jakże! Mamy go jak psa zostawić na ulicy?...

— Nigdy w świecie, na Boga!... Nigdy się to po nas nie pokaże! — krzyczeli wszyscy razem, tłukąc w stół pięściami. — Rodak nasz! Chodźno tu, mały. Myśmy emigranci! Patrzcie, jaki bęben ładny!

— Dalej, towarzysze, na stół miedziaki!

— A to zuch! Sam, przez morze!...

— Dzielny chłopak! Napijże się, rodaku!

— Nie może inaczej być, wyprawim cię do matki!

Jeden klepał go po ramieniu, drugi uszczypnął w policzek, trzeci zdejmował mu torbę. Inni emigranci zaczęli się też zbliżać.

Historja chłopca obleciała w mig całą oberżę; z sąsiedniej stacji przyszło kilku Argentyńców, i mniej niż w dziesięć minut stary Lombardczyk, który nadstawiał kapelusza, miał w nim czterdzieści dwa liry.

— Widziałeś, — rzekł wtedy, zwracając się

do chłopca, — jak to wszystko galopem idzie w Ameryce?

— Pij, zuchu! — zawołał któryś z gości, podając Markowi szklanę wina. — Za zdrowie twojej matki!

Wszyscy podnieśli szklanki, zaczęli się trącać, a Marek powtarzał:

— Za zdrowie... mojej... — A wtem radosne jakieś łkanie tak mu ścisnęło gardło, że postawił szklanę na stole i rzucił się na szyję staremu.

* * *

Nazajutrz rano o pierwszym dnia brzasku mały podróżny był już w drodze do Kordowy, ufny, wesoły i pełen najlepszych przeczuć. Ale niema takiej wesołości, któraby się długo ostała wobec posępnych widoków natury. Dzień był pochmurny, szary, pociąg, prawie pusty, przebiegał olbrzymią równinę, pozbawioną wszelkich śladów mieszkań ludzkich. Marek siedział sam w niezmiernie długim wagonie, podobnym do tych, którymi przewożą rannych. Patrzył na prawo, patrzył na lewo, ale wszędzie była głucha pustka, na której tu to tam sterczały drobne, karłowate drzewa, pnie potworne, powykręcane gałęzie, jak gdyby z gniewu i przerażenia przyjęły tę dziwną postać. Cała vegetacja¹⁾ ciemna, rzadka, smutna, nadawała ogromnej równinie pozór niezmiernego cmentarza.

Z nudów zaczął drzemać, lecz gdy otworzył

¹⁾ Vegetacja — roślinność.

oczy, zawsze ten sam widok. Stacje, które mijali, lub przed którymi zatrzymywali się, były samotne, niby domy pustelników, a kiedy pociąg stawał, nie słychać było żadnego głosu. Zdawało się więc chłopcu, że jedzie tak w jakimś straconym pociągu, o którym nikt nie wie, i który pędzi przez pustynię. A i to mu się zdawało, że lada stacja będzie już ostatnią i że wprost z niej będzie wyjście na tajemnicze i straszliwe siedziby dzikich plemion. Zimny wiatr twarz mu owiewał. Wsadzając go w Genui na pokład okrętu wkońcu kwietnia, ojciec jego nie spodziewał się, żeby w Ameryce była jeszcze zima, i wyprawił go w letniej odzieży. Więc po kilku godzinach tej ponurej jazdy, uczuł dotkliwie zimno, a wraz z zimnem ciężkie znużenie dni ubiegłych, pełnych gwałtownych wzruszeń i bezsennych albo niedospanych nocy.

Zdjął go sen. Spał długo i przebudził się całkiem skostniały. Uczuł, że mu źle jakoś. A wtedy ogarnął go głuchy niepokój, że może zachorować i umrzeć w tej drodze, i być porzuconym tu, na tej równinie, rozpaczliwie smutnej, gdzie ciało jego byłoby poszarpane przez drapieżne ptaki, albo rozwleczone przez psy, jak to się działo w jego oczach z ciałami krów i koni, porzuconemi na przydrożu, od których oczy ze wstrętem odwracał. Otóż z tem uczuciem niedomagania, wpośród ponurego milczenia natury, myśli jego i uczucia stały się posępne, złowróżbne.

‘ Czyż to już pewne, że matkę zastanie w Kordowie? A jeśli jej tam wcale nie było? Jeśli pan

z ulicy Los Artes pomylił się co do niej? A jeśli też... jeśli nie żyje?...

W myślach takich zasnawszy, śnił, że jest w Kordowie, że noc, idzie ulicą, a tu ze wszystkich okien słyszy: Niema jej! Niema! Niema!

Zbudził się nagle, zmarznięty srodze, i zobaczył w głębi wagonu trzech brodaczy, otulonych w szale kolorowe, którzy z cicha rozmawiając, patrzyli na niego.

Jakiś błysk podejrzenia przeniknął go w mgnieniu oka. Kto wie, czy to nie zbóje, którzy chcą go zamordować i ukraść mu torbę. Ogarnęła go trwoga, której dreszcz równie był przykry, jak dreszcz zimna, a wyobraźnia jego podniecona zaczęła snuć coraz bardziej przerażające widziadła.

Tymczasem trzej podróżni patrzyli na niego, wreszcie jeden z nich wstał i zaczął posuwać się ku niemu. Wtedy chłopiec stracił głowę i biegnąc do owego człowieka z otwartymi ramionami, krzyknął:

— Nie mam nic! Jestem biedny chłopak! Idę z Włoch szukać matki! Jestem sam, bezbronny, nie czyńcie mi nic złego!

Zrozumieli tę trwogę biedaka podróżni, użalili się, ugłaskali, uspokoili, mówiąc do niego wyrazami, których nie rozumiał, a widząc, że się trzęsie i szczęka zębami, owinęli go jednym ze swoich trzech szalów i namówili, żeby się przytulił w kącie i zasnął, a oni go na czas obudzą.

Jakoż zasnął, gdy mrok już zapadał. Kiedy go obudzili, był w Kordowie.

Jakże głęboko odetchnął, z jakim pośpiechem wyskoczył z wagonu! Zaraz na stacji zapytał jednego z urzędników, gdzie jest dom inżyniera Mequinez? Urzędnik wymienił nazwę kościoła, obok którego dom ten się znajdował. Chłopiec pobiegł, ledwo zdążywszy powiedzieć: dziękuję.

Była noc. Wszedł do miasta. I zdawało mu się, że znowu powrócił do Rosario, bo zobaczył tak samo proste i nieskończenie długie ulice, przy których stały domy niskie, białe, ulice tak samo pocięte przecznicami, równie długimi i równie prostymi. Były one wszakże dość puste, a kiedy przy świetle rzadko stojących latarni spojrzął w twarze nielicznych przechodniów, wydały mu się dziwne co do rysów, a koloru także niewidzianego nigdy, niby czarnego, niby oliwkowego.

Podniósł więc oczy i zaczął szukać wzrokiem kościołów. Ujrzał ich kilka, rysujących się na czerności nocy ciężkimi, dziwaczными kształty.

Miasto było ciemne i milczące, ale po przebyciu tej śmiertelnie ponurej i nieskończenie wlokącej się równiny, wydało mu się prawie wesołe.

Spotkał księdza, zapytał go o kościół i znalazł go niebawem, a także dom przy nim. Drżącą ręką pociągnął za dzwonek, a drugą z całej siły przycisnął do piersi, żeby powstrzymać gwałtowne uderzenia serca.

Na odgłos dzwonka wyszła otworzyć stara kobieta ze światłem. Ale chłopiec przemówić nie mógł.

— Do kogo to? — zapytała po hiszpańsku.

-- Do inżyniera Mequinez — odrzekł Marek

Stara zrobiła ruch taki, jakby chciała ręce skrzyżować na piersi, i kiwając głową, rzekła:

— Jeszcze i ty?... Jeszcze do inżyniera Mequinez? Zdaje się, że byłby już czas raz z tem skończyć! Trzy miesiące jak go niema, a ci go precz szukają!... Niedosyć, że daliśmy ogłoszenie do gazet, jeszcze może na rogach ulic drukować, że pan inżynier Mequinez wyprowadził się do Tucuman!

Markowi opadły ręce. Lecz zaraz chwycił go nagły gniew rozpaczy.

— Cóż to? — zawołał! Przekleństwo jakie, czy co?... Mam umrzeć tak na ulicy, na drodze, nie znalazłszy matki? Ja oszaleję!... Ja się zabiję! Boże! Boże!... Jak się nazywa ten kraj?... Gdzie jest? Daleko stąd?

— Czy daleko? Biedny chłopcze! Bagatela... Jakieś czterysta, czy pięćset mil, rachując lekko...

Marek zakrył twarz rękami. Gniew jego rozpłynął się w dziecięcych łzach bezsilności. Płakał i powtarzał z cicha:

— Co ja pocznę?... Co pocznę? Co ja teraz pocznę?

— Skądże ja mogę wiedzieć, mój biedaku! — odpowiedziała kobieta. — Ja przecie nie wiem!

Nagle błysk jakiś przeleciał jej przez głowę i rzekła śpiesznie:

— Słuchajże, chłopcze! Spróbuj jeszcze! Idź na prawo w ulicę, znajdziesz za trzecią bramą duży dziedziniec. Tam mieszka Capataz, taki kupiec, wiesz?... On jedzie jutro do Tucuman z wozami i wołami. Spróbuj, prosz... Możeby cię zabrał za po-

slugę w drodze. Możeby ci się dał przysiąc na który wóz... Tylko się spiesz... Leć!..

Chłopak chwycił torbę i pobiegł, dziękując. W dwie minuty później był na obszernym dziedzińcu, oświetlonym latarniami, gdzie kilku ludzi pakowało worki pszenicy na ogromne wozy, podobne do ruchomych domów, w których mieszkają i przenoszą się z miejsca na miejsce linoskoki; wozy miały dachy półokrągłe i nadzwyczaj wysokie koła. Robotą zarządzał wysoki, barczysty mężczyzna, owinięty obszernym płaszczem w białoczarne kraty i w wysokich butach z cholewami. Chłopczyna podszedł do niego i nieśmiałym głosem przedstawił swoją prośbę, dodając, że przybył z Włoch i szuka matki. Capataz — co znaczy tyleż prawie w tych wyprawach lądowych, co kapitan w wyprawach morskich, obrzucił go bystrem okiem od stóp do głowy i rzekł krótko:

— Niema miejsca.

— Panie — rzekł chłopiec błagalnie — mam piętnaście lirów... Niech je pan weźmie... Za drogę będę pracował, służył... Będę nosił wodę, paszę dla bydła... Będę wszystko robił, co pan każe. Niech mi pan pozwoli się przysiąc na którym wozie... Nie jestem ciężki...

Capataz popatrzał znowu, tym razem przyjaźniej nieco.

— Niema miejsca! A potem, widzisz, my nie jedziemy do Tucuman. Jedziemy do innego miasta, do Santiago dell' Estero. Więc musielibyśmy puścić cię stamtąd samego, a to jeszcze duży kawał drogi. Musiałbyś potem iść pieszo.

— Pójdę, panie. Jeszcze dwa razy taki kawał pójdę! Ja dobrze chodzę. Jakoś się tam dostanę... Niech mnie pan tylko weźmie. Niech mnie pan zabierze! Malutki kącik jaki, proszę pana! Ja się skurczę... Niech się pan zmiłuje nade mną! Niech mnie pan nie zostawia tutaj!

— Ależ chłopcze! To jest dwadzieścia dni drogi.

— Niech będzie! Nic nie szkodzi!

— I to jest ciężka podróż!

— Wytrzymam, proszę pana! Jestem mocny!

— I pamiętaj, że będziesz potem musiał iść sam.

— Pójdę, panie! Ja się niczego nie boję. Żebym tylko znalazł matkę! Niech się pan ulituje nade mną!

Capataz zbliżył mu do twarzy trzymaną w rękę latarnię i przez chwilę patrzył. Poczem rzekł:

— Dobrze.

Chłopiec pocałował go w rękę.

— Prześpisz się na wozie. Jutro o czwartej rano cię obudzę. Buenos noches... — dodał po hiszpańsku, co znaczy: dobranoc.

O czwartej rano przy świetle gwiazd jeszcze długi rząd ładownych wozów ruszył z wielkim łośkotem i brzękiem łańcuchów; każdy wóz ciągniony przez zaprzęg dwóch wołów, a za każdym wozem uwiązane dwie jeszcze pary na zmianę.

Chłopiec, zbudzony i umieszczony w jednym z wozów na stosie worków, zasnął powtórnie.

Kiedy się obudził, cały konwój wypoczywał w ustronnem, słonecznem miejscu, a ludzie, należący do wyprawy, »los peones« zwani, siedzieli na ziemi wokoło dopiekającej się ćwierci cieleciny, nadzianej na rodzaj różna, opartego na koziolkach przy dużem ognisku, które wiatr rozdymał.

Gdy pieczeń była gotowa, zjedli ją wszyscy razem, przespali się i ruszyli dalej. I tak szła ta podróż równym trybem, regularnie jak pochód żołnierzy. Każdego rana ruszali o piątej, zatrzymywali się o dziewiątej, znów wyruszali o piątej z południa, a o dziesiątej stawali na nocleg.

Peonezi jechali konno i poganiali woły długimi prętami. Chłopiec rozpalał ognisko, dawał jeść bydłu, czyścił latarnie, przynosił wodę do picia.

Kraj, który przebywali, wydawał mu się niewyraźną jakąś wizją: były tu obszerne zarośla drzew drobnych, prawie brunatnych, osady o niewielu rozrzuconych domach, których fronty były ząbkowane i malowane czerwono, olbrzymie przestrzenie, może pradawne łożyska wielkich słonych jezior, hielejące solą, jak tylko okiem zajrzeć, a wszędzie i zawsze płaszczyna, pustka i milczenie.

Niezmiernie rzadko spotykali dwóch, trzech konno jadących podróżnych, z uwiązanymi zapasowymi końmi, którzy przelatywali galopem jak wichry, i znów wielka pustka i szeroka cisza. Dni były tak jednostajne, jak na pełnem morzu, znojne, nudne, nieskończenie długie.

Ale czas był prześliczny.

Wszakże peonezi codzien stawali się bardziej wymagający, zupełnie jakby chłopiec był ich płat-

nym służącym, niektórzy traktowali go brutalnie, a wszyscy żądali ciągłych posług, bez żadnego względu. Kazali mu dźwigać ogromne brzemiona paszy, posyłali po wodę w bardzo oddalone miejsca, a on, złamany tą ciężką pracą, nie mógł się nawet dobrze wyspać, budzony nocą rykiem bydła, rżeniem koni, ujadaniem wielkich psów, które mieli z sobą, a rankiem wstrząsany nieustannie podskakującym ruchem wozów, skrzypieniem kół i brzękiem żelastwa. W dodatku niech tylko wiatr się zerwał, a zrywał się często, czerwonawy, tłusty pył pokrywał wszystko, dostawał się do wozu, przenikał pod ubranie, napełniał mu usta i oczy, tamując oddech, przeszkadzając patrzeć, uporczywy, nieznośny.

Zmęczony ciężką pracą i niespaniem, obdarty i brudny, poniewierany od rana do nocy, biedny chłopiec z dnia na dzień coraz bardziej marniał i byłby zupełnie upadł na duchu, gdyby Capataz nie przemówił do niego od czasu do czasu paru słów życzliwych. Często też skulony w kącie wozu, niewidziany przez nikogo, płakał gorzko, oparłszy twarz o swoją torbę, w której już nic nie było, prócz trochy łachmanów. Co rano wstawał słabszy, bardziej zniechęcony, a patrząc na tę nieskończoną równinę, Nielitosną, nieprzebytą, jak ocean ziem pustych, milczących, myślał sobie:

— Ach, tego wieczora to już nie doczekam. Dzisiaj umrę z pewnością!

A roboty przybywało, a dokuczliwe obejście coraz było cięższe.

Pewnego ranka że wody na czas nie przy-

niósł, w nieobecności Capataza jeden z peonezów uderzył go, i odtąd w zwyczaj weszło, że wszyscy wraz z rozkazem dawali mu szturchańca, mówiąc:

— Weź to do torby, włóczęgo! Weź dla matki!

A jemu serce pękało. Znosił, ale nie mógł znieść i zachorował.

Trzy dni leżał na wozie, okryty kołdrą, szcękając zębami w okrutnej febrze i nie widując nikogo, prócz Capataza, który przynosił mu pić i liczył puls. Miał się już za zgubionego i wzywał matki z rozpaczą śmiertelną, słodkie jej imię ciągle miał na ustach.

— O matko! Droga mammo! Ratuj mnie! Przyjdź, nim umrę, żebym cię pożegnał! O mammo, czy ja cię nigdy nie zobaczę? Czy mnie, mammo, umarłego znajdziesz na tej drodze?

I składał ręce i tulił je do piersi i modlił się żarliwie, gorąco.

Dzięki staraniom poczciwego Capataza wyzdrowiał jednak, ale właśnie wtedy nadszedł dzień najstraszniejszy, dzień, w którym miał zostać sam jeden.

Dwa tygodnie byli już w drodze.

Kiedy więc przyciągnęli do rozstaju, gdzie od drogi, idącej ku Tucuman, odgałęzia się droga, idąca do Santiago dell' Estero, Capataz oznajmił chłopcu, że tu się rozłączą. Dał mu kilka wskazówek co do dalszej podróży, założył mu torbę na plecy, żeby mu łatwiej było iść, i jak gdyby obawiał się własnego rozczulenia, krótko się z nim pożegnał, tak że chłopak ledwie miał czas pocałować

go w rękę. Ale i peonezi, którzy mu tyle nadokuczali, zdaje się, że byli wzruszeni litością, widząc go tak samotnym, stojącym bezradnie na drodze, gdyż oddalając się, pożegnali go przyjaznym ruchem ręki. A on oddawszy im z serca pożegnanie, stał i patrzył, póki cała wyprawa nie znikła mu w chmurze czerwonego pyłu, poczem westchnął i puścił się w drogę.

* * *

Jedna rzecz wszakże dodała mu otuchy zaraz na wstępie. Oto po tak długiej podróży przez nieskończoną, śmiertelnie jednostajną płaszczyznę, spostrzegł wznoszące się przed sobą na dalekim widnokręgu niezmiernie wysokie, lazurowe góry z białymi szczytami; przypomniały mu one Alpy i dawały złudzenie czegoś swojskiego, czegoś, co go do oddalonej ojczyzny zbliżało. Były to Andy, skalisty grzbiet amerykańskiego lądu, olbrzymi łańcuch, ciągnący się od Ziemi Ognistej do morza Północnego, na przestrzeni stu dziesięciu stopni szerokości geograficznej.

A jednocześnie powiew wiatru stawał się coraz cieplejszy, wprost jakby ogrzane powietrze biegło naprzeciw niego. I nie dziw: droga jego, wstępująca teraz znowu ku północy, zbliżała go powoli ku sferom zwrotnikowym.

Uszedł już kawał, kiedy spotkał nareszcie grupę małych domków, z dość nędznym kramikiem, do którego wstąpił, żeby kupić coś do jedzenia. Był porządnie głodny. Posiliwszy się nieco, szedł dalej. Droga nie była całkiem pusta.

Spotykał mężczyzn, jadących konno, widział kobiety i dzieci, siedzące na trawie, nieruchome, poważne, z twarzami osobliwymi, koloru ziemi, o mocno wystających kościach policzkowych i podłużnych oczach, które wpatrywały się w niego uparcie i przeprowadzały go spojrzeniem, powoli obracając głowy, zupełnie jak automaty¹⁾. Byli to Indjanie.

Pierwszego dnia szedł Marek, dopóki mu sił starczyło, noc zaś przespał pod drzewem. Drugiego uszedł mniej trochę i z większym wysiłkiem. Buty miał dziurawe, nogi poobijane, i czuł się jakoś niedobrze przy lichym posiłku. Pod wieczór strach go ogarnął. Przypomniawszy sobie, że mówiono we Włoszech, jakoby w krajach tych były jadowite węże, zaraz też wydało mu się, że słyszy w trawach podejrzane świsty. Zatrzymywał się, słuchał, potem szedł znowu, a dreszcz strachu przenikał mu kości. To znów ogarniała go wielka litość nad samym sobą, i płakał, idąc w milczeniu. Zaraz wszakże otrząsał się z tego:

— Ach — myślał — jakżeby się mama martwiła, gdyby wiedziała, że ja się tak boję!

I to wracało mu odwagę. Więc czepiał się myśli o matce, jak deski ratunku. Przypominał sobie o niej różne rzeczy. Jej drogą twarz, głos, słowa, któremi go żegnała, opuszczając Genuę... to znów przypominał sobie, jak mu poprawiała kołdrę i poduszkę w łóżeczku, kiedy był mały, jak go brała na kolana, mówiąc:

¹⁾ Przedmiot poruszany za pomocą mechanizmu.

— Posiedź trochę u mnie! — I oparłszy głowę, długo tak nieraz siedziała, zamyślona, zadumana... Więc orzeźwiwszy się wspomnieniem matki, nabierał znów otuchy:

— Przecież zobaczę cię nakoniec, droga mamó. Przecież dojdę kiedyś do końca tej drogi, prawda, mamó?...

I szedł, szedł, wpośród nieznaných drzew, pośród wielkich plantacji trzciny cukrowej, przez ogromne stepy trawiaste, zawsze ku onym lazurowym góróm, które wierzchołkami przecinały niebo. Tak minęło dni cztery, pięć, upłynął tydzień.

Siły chłopca znikaly, jakby topniały, stopy miał pokaleczone. Aż pewnego dnia o zachodzie słońca, zapytany przechodzień odpowiedział:

— Tucuman? Pięć mil będzie jeszcze do Tucuman.

Marek wydał okrzyk radości i przyśpieszył kroku, jakby cudem odzyskał utracone siły. Ale było to złudne podniecenie. Za chwilę pociemniało mu w oczach, siły go opuściły i upadł nad brzegiem przydrożnego rowu.

Serce przecież uderzało mu w piersi radośnie! Niebo, iskrzące promiennemi gwiazdami, nigdy mu się jeszcze nie wydawało tak pięknem. Patrzył w nie, wyciągnięty na trawie, a jednocześnie myślał, że może w tej samej chwili i matka jego na te gwiazdy patrzy. I mówił:

— Gdzie jesteś, mamó droga! Co robisz teraz? Czy myślisz o twoim Marku, który jest tak blisko ciebie?

Biedny Marek! Gdyby wiedział, co się dzieje z jego matką, byłby zrobił jeszcze nadludzki wysiłek, żeby tylko być przy niej o parę godzin wcześniej. Była chora, leżała w łóżku, w parterowym pokoiku pięknej willi, zamieszkaney przez rodzinę inżyniera Mequinez, która dobrą kobietę polubiła serdecznie i opiekowała się nią najtroskliwiej.

Biedna kobieta była już niezdrowa, kiedy inżynierowi Mequinez wypadło niespodzianie opuścić Buenos Aires, wprędce jednak wyborny klimat Kordowy powrócił jej siły.

Ale kiedy na listy, pisane do męża i do owego krewniaka, nie otrzymała żadnej odpowiedzi, przecucie jakiegoś nieszczęścia, obawa ciągła, w której żyła z dnia na dzień, pozbawiona wszelkich wieści o dzieciach, o domu, wahanie się, czy jechać, czy zostać, szalony niepokój, odbierający jej sen w nocy i możność posiłku we dnie, wszystko to pogorszyło stan jej w niezwykły sposób. Wkońcu, rozwinęła się choroba groźna, jakieś ostre, wewnętrzne zapalenie, które ją od dni piętnastu trzymało pomiędzy życiem a śmiercią. Żeby ocalić to życie, trzeba było zdecydować się na operację chirurgiczną.

I właśnie w chwili, kiedy jej wzywał Marek, państwo Mequinez stali oboje przy łóżku, przekładając jej łagodnymi słowy, dlaczego operacja ta konieczną była, a ona upierała się, płacząc, że jej nie chce.

Zdolny lekarz z Tucuman już zeszłego tygodnia przybył tu napróżno.

— Nie, drodzy państwo! — mówiła słabym

głosem chora. — Ja na to już za słaba... umarłabym pod nożem doktora... Toć wolę tak umierać. Co mi po życiu? Już dla mnie się wszystko skończyło. Lepiej mi umrzeć wpierw, zanim się dowiem, co się tam z moimi biedakami stało!...

A państwo perswadowali. Toż trzeba przecie mieć trochę odwagi! Trochę ufności! Gdyby pisała wprost do Genui, a nie przez krewnego, byłaby już dawno miała wiadomość od rodziny. Zdrowia lekceważyć nie można, trzeba poddać się tej operacji, jeśli nie dla siebie, to dla dzieci.

Ale to słowo: »dzieci« powiększyło tylko srogą boleść i rozpaczliwą tęsknotę, która ją przygnębiała od dłuższego czasu.

Ach, moje dzieci! Moje dzieci! — zawołała, składając wychudzone ręce. — Niema już was może na świecie! Niechże i ja lepiej umrę! Dziękuję wam, dobrzy państwo! Z serca wam dziękuję, ale wolę już umrzeć, niż codzień umierać z żalości! Mnie już nic nie pomoże. Dziękuję za wszystkie koszta i starania wasze. Niech doktor nie przyjeżdża tu pojutrze, ja chcę umrzeć. Tak przeznaczone. Już niech będzie, co ma być!

Ale państwo Mequinez nie ustępowali:

— Dla Boga! Nie mówcie tego! Nie można! — I brali jej rękę w swoje dłonie i prosili i pocieszali, jak mogli. Wszakże chora zamknęła oczy i zapadła w osłupienie, które wydawało się już prawie śmiercią.

A pani i pan przy świetle małej lampki patrzyli z ogromnem współczuciem na tę bohaterską matkę, która dla ratowania rodziny umiera o sześć

tysięcy mil od ojczyzny, po tylu trudach, po tylu cierpieniach, zacna, dobra, a nieszczęśliwa.

* * *

Następnego dnia, wczesnym rankiem, ze swoją torbą na plecach, zgarbiony i kulejący, a pełen otuchy w sercu wchodził Marek do miasta Tucuman, jednego z najmłodszych i najbardziej kwitnących grodów Republiki Argentyńskiej.

I zaraz przypomniały się chłopcu jak żywe: Buenos Aires, Rosario, Kordowa, gdyż i tu były także same proste, niezmiernie długie ulice i także same z obu ich stron białe, niskie domy. Tylko gdzie spojrzął, widział wspaniałą i świeżą roślinność, niebo głębokie, przeczyste, tak nieskalanego szafiru, jakiego nigdy, nigdzie i we Włoszech nawet nie oglądał; powietrze zaś, którem oddychał, miało precudny zapach pomieszanych kwiatów. Idąc spiesznie przez ulice, czuł to samo gorączkowe wzruszenie, jakiego doznał w Buenos Aires. Drżał cały dziwnym wewnętrznym dreszczem, przyglądając się oknom i drzwiom domów i obrzucając badawczem spojrzeniem przechodzące niewiasty, z jakąś trwożną nadzieją, że ujrzy matkę. Chciałby wszystkich o nią pytać, a przecież nie śmiał zatrzymać nikogo. Ci jednak, którzy go spotykali, zatrzymywali się na progach domów, patząc na biednego, obdartego, pokrytego kurzawą chłopca, na którym znać było, że idzie bardzo z daleka.

A on tymczasem upatrywał twarzy, któraby go ośmieliła do trwożnych zapytań, kiedy mu wpadł

w oczy szyld jakiegoś sklepu z włoskiem nazwiskiem właściciela. W sklepie spostrzegł mężczyznę w okularach i dwie kobiety. Zbliżył się zwolna do drzwi i zebrawszy całą odwagę, zapytał:

— Czy nie mógłby mi pan powiedzieć, gdzie tu mieszka pan Mequinez?

— Pan inżynier Mequinez? — zapytał właściciel sklepu.

— Pan inżynier Mequinez — odpowiedział chłopiec drżącym głosem.

— Państwa Mequinez — rzekł właściciel sklepu — niema w Tucuman.

Krzyk rozpaczliwego bólu, jakby z piersi nożem przebitej idący, był echem słów jego. Zerwał się kupiec, zerwały się kobiety, kilku przechodniów stanęło na trotoarze, przybiegło kilku sąsiadów.

— Co to? Co ci to, chłopcze? — pytał wystraszony kupiec, prowadząc Marka do sklepu i sadzając go na krześle. — Dla Boga, niema czego desperować! Państwa Mequinez tu niema, ale są niedaleko, o kilka godzin od Tucuman...

— Gdzie? gdzie? — zakrzyknął Marek i skoczył z krzesła, jak gdyby wskrzeszony.

— Będzie z piętnaście mil — mówił kupiec. — Na brzegu Saladilli, w tem miejscu, gdzie budują wielką cukrownię i osadę. Tam teraz mieszka pan inżynier, wszyscy wiedzą o tem, a byleś tego nogi zbierał, będziesz tam za kilka godzin.

— Byłem tam miesiąc temu — rzekł jakiś młodzieniec, który przybiegł na krzyk do sklepu.

Marek spojrział na niego prawie wystraszoną wzrokiem i blednąc, zapytał nagle:

— Czy pan tam widział służącą państwa Mequinez, Włoszkę?

— Genuenkę? Widziałem.

Marek wybuchnął konwulsyjnym łkaniem, płacząc i śmiejąc się razem. I zaraz porwał się gwałtownie, rzucając pytania jedno przez drugie:

— Jak się idzie? Prędko! Jaką drogą? Na miłość Boską! Prędko! Muszę biedz zaraz... Pokażcie mi drogę!...

— Ale to cały dzień drogi! — mówili wszyscy razem. — Jesteś zmęczony... Musisz odpocząć do jutra. Jutro pójdziesz z samego rana.

— Nie mogę! Nie mogę! — wołał chłopiec. — Powiedzcie mi tylko drogę. Pokażcie! Ani chwili nie mogę czekać. Idę zaraz, choćbym miał upaść... Drogę mi pokażcie!

Widząc go tak zdecydowanym, nikt się już nie sprzeciwiał biedakowi.

— Niechże cię Bóg prowadzi! — mówili. — A pilnuj się w drodze przez las. Szczęśliwej drogi, mały Włoszku!

Ów młodzieniec wyprowadził go z miasta, pokazał gościniec, udzielił kilku objaśnień i patrzył za nim, kiedy chłopiec ruszył. Po kilku chwilach mały wędrowiec kulejący, z torbą na plecach, zniknął mu z oczu poza drzewami, ocieniającymi z obu stron ulicę.

* * *

Noc, która po dniu tym zapadła, była okropna dla chorej. Biedna kobieta cierpiała straszliwe bóle, które jej wydzierały nieprzytomne jęki i chwilami

w szal ją wprawiały. Osoby, czuwające nad nią, traciły głowę. Wszyscy zaczęli się obawiać, że gdyby nawet chora zdecydowała się na operację, lekarz, który miał przybyć z Tucuman nazajutrz rano, mógłby przybyć za późno.

Wszakże w chwilach, kiedy odzyskiwała przytomność, można było poznać, że najcięższem jej cierpieniem była nie męka ciała, lecz męka duszy, myśl rozpaczliwa o dalekiej rodzinie. Błada, wycieńczona, z twarzą zmienioną, chwytiała się za włosy ruchem rozpaczny, który przenikał serca:

— Boże mój! Boże mój! Umierać tak daleko! Umierać i nie widzieć nikogo, nikogo! O dzieci moje, o moje sieroty! O nieszczęsne sieroty wy moje! O Marku mój! Takie małe, takie dobre, takie kochające dziecko! Nikt nie wie, co to było za kochające dziecko! O, żeby pani wiedziała! Od szyi go sobie oderwać nie mogłam, kiedym odjeżdżała, a płakał!... a płakał! Że mu też serce nie pękło wtedy z żalu! Oj, wiedziałeś ty, sieroto, że matki nie zobaczysz więcej! Żem ja wtedy trupem nie padła! Ze się też Bóg nie zmiłował i śmierci mi tam nie dał! Oj, żebym lepiej była padła przy tem żegnaniu.

— Bez matki... Takie dziecko... Takie serdeczne... takie kochające... w sieroctwie... w nędzy zmarnieje to, zmarniejel!... Oj, dziecko moje wygłodniałe... rękę wyciągające po kawałek chleba... Och! Stwórco litościwy! Nie! Nie! Nie chcę umierać! Doktora! Wołajcie doktora. Niech idzie, niech się śpieszy, niech mnie kraje, niech zwarjuję, ale niech mnie ocali! Chcę życia, chcę zdrowia, chcę jechać

za morze, chcę do swoich... do dzieci... Ratujcie!...
Ratujcie!...

I wpadała w straszliwy szal rozpaczy. Pilnująca kobiety chwyciła ją za ręce, trzeźwiły, uspakajały, mówiły jej o Bogu, o ufności, aż zwolna, zwolna przychodziła do siebie, zapadając w śmiertelne zgnębienie, albo płacząc, jak dziecko. A z piersi jej razem z tym płaczem dobywały się ciche jęk i westchnienia:

— O Genuo! miasto moje... O mój domu...
O ty morze moje! O mój Marku! Gdzieżeś ty, drogie, drogie dziecko!

* * *

Północ była. Marek wypocząwszy parę godzin na brzegu rowu, zaczął iść przez ogromny las, przez puszcę, zarosłą olbrzymimi drzewami, potworną roślinnością, pniami podobnymi do kolumn w katedrze, które na niezmiernej wysokości spletały korony, wysrebrzone księżycowym światłem. W półmroku tej gęstwy i miesięcznej nocy widział zastępujące mu drogę miliony drzew najrozlicniejszych kształtów, prostych, pochylonych, pokręconych, pokrzyżowanych, poplątanych z sobą w najdziwaczniejszych ruchach, jak gdyby walki, zaczajenia, groźby.

Niektóre z pni, leżąc na ziemi jak powalone bramy, pokryte były bujną roślinnością, która zdawała się być tłumem, wydzierającym sobie każdą ich piędź w zażartym boju. Inne, ściśnięte i prostopadłe, zebrane w wielkie grupy, wyglądały jak po-

więzie tytanicznych lanc, których ostrze przebijało chmury. Jakaś pycha wielkości, jakiś cudowny zamęt olbrzymich kształtów, jakiś straszliwy i majestatyczny widok, na jaki natura rzadko tylko się zdobywa w wielkiem swoim roślinnem państwie. Marek zatrzymywał się niekiedy w podziwie i osłupieniu, ale wnet dusza jego porywała się znowu ku matce. Szedł więc dalej, choć omdlewał ze zmęczenia, a stopy miał krwawe. Szedł sam, skrósł tej potwornej puszczy, gdzie tylko w rzadkich odstępach czasu spotykał nędzne, mrowiskom podobne siedziby ludzkie, przytulone do pni olbrzymich, i stada bawołów, uspięne nad drogą. Omdlewający był, a nie czuł zmęczenia; sam był, a nie czuł bojaźni. Ta królewska potęga natury duszę mu podniosła. Bliskość matki dawała mu siłę i wytrwanie męskie, wspomnienie oceanu, przerażeń, zawodów, boleści przecierpianych i zwyciężonych, trudów podjętych i prac wykonanych, poczucie żelaznej i niezłomnej woli, czoło jego podnosiły wysoko, wysoko! Wszystka jego szlachetna genueńska krew zalewała mu serce gorącą falą męstwa.

I zaszła w nim jedna jeszcze rzecz niespodziewana. Ten obraz matki, który nosił w sercu i w myśli aż dotąd, obraz zamierzchły i wyblakły przez te dwa lata jej nieobecności, rozjaśnił mu się jakimś wielkiem światłem wśród tych majestatycznych widoków natury. Ujrzał tę drogą twarz tak widną, tak czystą, jak gdyby patrzył na nią, ujrzał ją bliską sobie, mówiącą, wzruszoną, rozróżniał każdy ruch jej oczu, ust, każdy gest jej ręki, każdy cień jej zamyślenia. I popchnięty, wspomnie-

niami temi, które prawie jawą się stawały, przyspieszał, przyspieszał kroku. A serce rozpływało mu się w jakimś nowem, stokroć mocniejszym kochaniu, w jakiejś tkliwości niezmiernej, która wzbierała, aż uczuł płynące po twarzy łzy słodkie i ciche. Więc idąc tak coraz dalej, mówił słowa rzewne, gorące, jakie wkrótce powtórzyć jej miał w uścisku.

— Otom jest, matko ukochana! Otom jest przy tobie! Nigdy cię już nie opuszczę, nie zostawię samą. Razem powrócimy do domu! Na okręcie będę stał ciągle przy tobie blisko, przez całe morze. Nikt nie oderwie mię od ciebie. Nikt, nigdy, aż do końca życia.

I nie spostrzegł nawet, że ponad wierzchołkami drzew olbrzymów srebrzyste światło miesięczne przygasało w rozbieleniu wschodzącej jutrzenki.

* * *

O ósmej rano lekarz z Tucuman, młody Argentyńczyk, stał przy łożu chorej w towarzystwie asystenta i przekładał po raz ostatni konieczność operacji. Pan Mequinez i jego żona łączyli do rad lekarza gorące słowa. Wszystko jednak było daremne.

Kobieta, czując się zupełnie wyczerpaną, nie wierzyła już w tę operację. Była pewna, że albo umrze pod nożem, albo przeżyje ją o kilka godzin, po wycierpieniu mąk stokroć straszniejszych, niż te, które jej śmierć drogą naturalną sprowadzić musiały.

— Ale operacja uda się najpewniej. Ozdrowienie jest niezawodne. Więc odwagi trochę, odwagi. Bo i śmierć wasza równie niezawodna, jeżeli odmówicie.

Ale słowa lekarza były rzucone na wiatr.

— Nie! — mówiła słabym głosem. — Nie boję się śmierci, ale nie mam odwagi cierpieć bezużytecznie. Dziękuję panu bardzo, panie doktorze. Pan jest tak dobry, ale to już przeznaczone. Dajcie mi umrzeć spokojnie!

Lekarz, zniechęcony, ustąpił. Nikt już nie miał odwagi się odezwać. Wtedy chora zwróciwszy twarz ku dobrej pani, polecała jej ostatnie prośby swoje zamierającym już głosem:

— Droga, dobra pani! — mówiła z wielkim trudem. — Proszę posłać te resztę pieniędzy mojej rodzinie przez pana konsula. Ufam, że jeszcze żyją. Serce mi to wróży w tych ostatnich chwilach. I niech mi pani uczyni tę łaskę i napisze do nich, żem o nich myślała, żem dla nich zawsze pracowała, dla moich dzieci, i że najbardziej to mięę bolało, żem ich zobaczyć przed śmiercią nie mogła. I to napisać proszę, żem umierała odważnie, błogosławiąc dzieciom i ufając w Boskiem miłosierdziu... I że polecam mężowi i starszemu synowi mego najmłodszego, mego biednego Marka, którego miałam w sercu do ostatniego tchu.

A wtem składając ręce, w uniesieniu zawołała:

— Marek mój! Dziecko moje! Życie moje!

Ale potoczywszy dokoła pełnemi łez oczyma, spostrzegła, że pani niema. Ktoś przyszedł i odwołał ją nagle. Szukała wzrokiem pana, ale i jego

nie było. Przy łóżku jej stał tylko asystent i dwie posługaczki. Tymczasem w pokoju obok słychać było przyśpieszone kroki, szmer zmieszanych rozmów i powstrzymywane okrzyki. Chora utkwiała we drzwiach gasnące oczy — i czekała.

Po kilku minutach wszedł lekarz z twarzą zmienioną, po lekarzu pan i pani, także widocznie wzruszeni. Wszyscy troje patrzyli na chorą wzrokiem dziwnym i zamieniali z sobą wymowne słowa cichym głosem. Chorej zdawało się, że lekarz mówi:

— Lepiej zaraz!

Nie rozumiała tego.

— Józefo! — przemówiła pani drżącym głosem — mam dla ciebie dobrą wiadomość. Przygotuj serce na dobrą nowinę!

Kobieta patrzyła bacznie na mówiącą.

— Na nowinę — mówiła pani, coraz bardziej wzruszona, — która ci sprawi wielką, wielką radość...

Oczy chorej rozszerzyły się nagle.

— Przygotuj się na to, że zobaczysz kogoś... pewną osobę... którą bardzo kochasz.

Kobieta silnym ruchem podniosła głowę i pochyliła patrzeć płonącymi oczyma to na panią, to na drzwi...

— Osobę — mówiła pani blednąc, jakby sama zemdleć miała — która tylko co... przybyła... niespodziewanie.

— Kto przybył?! — zawołała kobieta głosem zduszonym, nieswoim, głosem śmiertelnie przerażonego człowieka. I porwawszy się z pościeli z przenikliwym krzykiem, siadła nieruchoma, z oczyma

szeroko otwartemi, z rękami podniesionemi do skroni, jak gdyby wobec nadludzkiego widma. Marek obdarty, okryty kurzawą, stał w progu, podtrzymywany ramieniem lekarza.

Chora wydała trzykrotny, w jakieś wyżyny szалу wznoszący się okrzyk:

— Boże! Boże mój! Boże!...

Rzucił się Marek. Chora wyciągnęła wychudłe ramiona i cisnąc głowę jego do swej piersi z konwulsyjną siłą, wybuchnęła gwałtownym śmiechem, przerywanym jakimś suchem, bez jednej łzy, łkaniem, które ją powaliło na pościel jak martwą. Ale zerwała się natychmiast i szalona ze szczęścia, pokrywała głowę syna pocałunkami.

— Jesteś?... Skąd?... Jak?... Dlaczego jesteś?... Czy to ty? Jak urósł! Boże! Jakes się tu dostał? Kto cię przyprowadził? Sam jesteś? Czyś nie chory? Czy to ty, Marku? Czy mi się tylko śni! Boże... Boże mój! Przemów! Mów do mnie!

I nagle zmieniając ton głosu.

— Nie! Nie mów nic! Nic... Czeka! — Zwróciła się do doktora gwałtownie: — Prędko! Prędko, doktorze! Bo ja chcę być zdrowa! Ja muszę być zdrowa! Jestem gotowa. Niech pan ani chwili nie traci. Zabierzcie Marka... Niech Marek nie słyszy...

I słodko do syna:

— Nic, Marku! Nic, dziecko! Mają mi coś powiedzieć. Ucałuj matkę. Idź! Doktorze, już... już...

Wyprowadzono chłopca.

Państwo Mequinez, posługujące kobiety, wszyscy wyszli pośpiesznie. Został chirurg i asystent, który za nimi drzwi zamknął.

Pan Mequinez próbował zabrać z sobą Marka do oddalonego pokoju, ale to okazało się niepodobieństwem. Chłopiec był jak przygwożdżony do posadzki. Oczy jego stały się jakby obłąkane, usta mu drżały, chwiał się i ledwo mógł przemówić głośno:

— Co to?... Co mamie? Co oni tam z mamą robią?...

Więc pan Mequinez, ciągle usiłując odprowadzić go dalej, mówił z cicha:

— Słuchaj! Powiem ci zaraz. Matka twoja jest chora. Trzeba jej zrobić małą operację... Pójdź, to ci opowiem wszystko!

I pociągnął go za sobą.

— Nie! — odrzekł chłopiec, opierając się. — Chcę być tutaj. Tu niech mi pan opowie.

Wtedy inżynier opowiadając bezładnemi słowy niebyswałe jakieś rzeczy, wprost ciągnąć go zaczął.

Chłopiec przeraził się i drżał cały.

Naraz krzyk przenikliwy, jak gdyby krzyk śmiertelnie ranionej osoby rozległ się po całym domu.

Odpowiedział mu krzyk chłopca, jak echo boleści.

— Umarła matka moja!

Lekarz stanął we drzwiach:

— Twoja matka ocalona, chłopczel!

Marek patrzył na niego przez chwilę, a potem rzucił mu się do nóg z głośnem łkaniem:

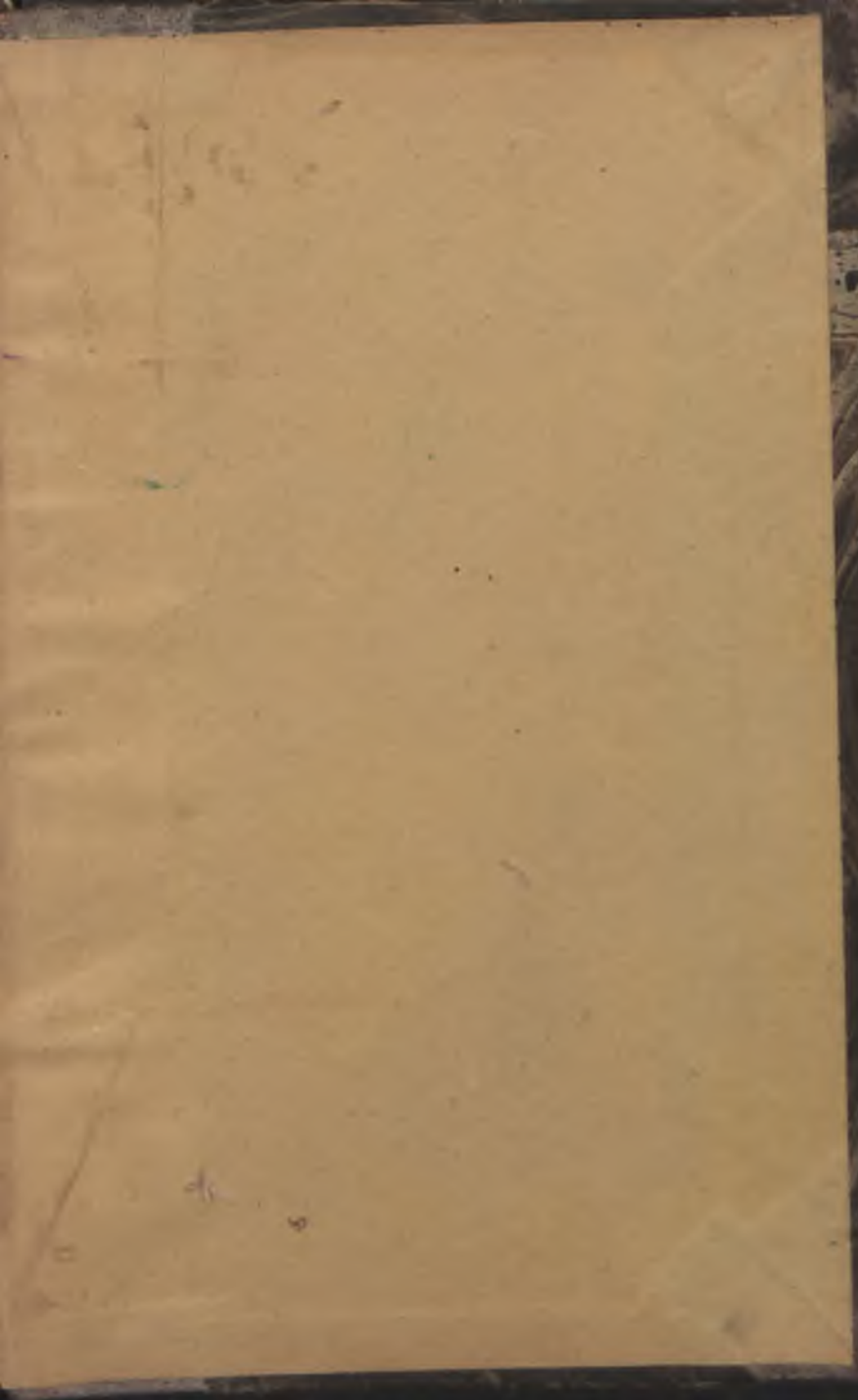
— Dziękuję, panie doktorze, dziękuję! dziękuję...

Ale doktor podniósł go i rzekł:

— Wstań dziecko! To nie ja, to ty, mały bohaterze, ocaliłeś matkę!

Z. H. P.
Oddział Lwowski
Chorągiew Męska
2. DRUŻ. HARGERSKA im. H. TRAUTMANN
we Lwowie

L. _____



PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14



173796

UWAGA

KŁOCEK INTROLIGATORSKI

MUZEUM